

The background of the book cover is a detailed historical painting. It depicts a busy street scene from the 18th century. In the foreground, a horse-drawn cart with large wooden wheels is being maneuvered by several men. A man in a dark, long coat stands near the cart. To the right, a horse is harnessed to the cart. In the background, more figures are visible, including a man in a red coat. The architecture features buildings with red-tiled roofs and several tall, thin chimneys. The overall style is that of a classical oil painting.

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

OPOWIADANIA
IMĆ PANA
WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA
KONNEJ GWARDJI
KORONNEJ

A. D. 1760—1767

ARMORYKA

Władysław Łoziński

**Opowiadania imię pana Wita Narwoja,
rotmistrza konnej gwardji koronnej
A. D. 1760—1767**

Władysław Łoziński

**Opowiadania imć pana Wita Narwoja,
rotmistrza konnej gwardji koronnej**

A. D. 1760—1767

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Brunisława (Brunia) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Tekst książki według edycji:
Władysław Łoziński
Opowiadania imię pana Wita Narwoja rotmistrza Konnej Gwardji Koronnej
a. d. 1760—1767
"Biblioteka Polska", Warszawa [1925]
Pisownię uwspółcześniono w niewielkim zakresie.

Ilustracja na okładce: Jan Piotr Norblin, *Targ na Pradze*, 1791
(licencja *public domain*),
źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Targ_na_Pradze.jpg

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27–600 Sandomierz
tel (0–15) 833 21 41
e–mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978–83–7639–009–3

DWUNASTY GOŚĆ

Wigilia Bożego Narodzenia!... Piękny to dzień, piękny i radosny dla chrześcijańskiego serca, a tak jakoś dziwnie, uroczyście, przemawia do duszy, że człowiek i płakałby zarazem i radował się: płakał od rzewności i wspomnień, co nie wie, gdzie jak i skąd nawałem cisną się do głowy i serca, radował się od wesela i szczerzej otuchy, którą to wielkie w chrześcijaństwie święto, pamiątka zmiłowania bożego dla ludzkości, napawa wierzących...

„Chwała Panu na wysokościach a pokój ludziom dobrej woli na ziemi”. Dożyłem i ja pokoju pod resztki żywota mego, który rozmaity bywał, zmienny i w przygody nieskąpy, częściej grzeszny i rozpustny, niżeli stateczny, częściej przykry i twardy, niż szczęśliwy. Człek miał duszę rogatą, więc i rogato mu życie wypadło; przeżyło się lat wiele; bywało się na wozie i pod wozem; jadło się chleb z niejednego pieca, tułało się po rozmaitych kątach i własnej ziemi i obcej, i tam, kędy było potrzeba, i tam, kędy człeka nie posiano; przebyło się opłakane czasy dla milej tej a biednej ziemi naszej, a teraz czeka się cierpliwie, kiedy Bóg miłosierny pozwoli odpocząć wiekuiście...

Widzę was koło siebie wszystkich, i synów, i wnuków; wiankiem otoczyliście dziadka i nalegacie, aby sięgnął do pamięci swej biednej i opowiedział co z dawnych czasów. „Gadaj, dziadu!” — słuszne to domaganie, bo i czymże stary bogaty, jak nie wspomnieniami długiego żywota? Kiedy taka serdeczna wola wasza, i kiedy radzi słuchacie dawnych dziejów, więc opowiem wam przygodę, która głęboko wpisała się w pamięć moją i, nigdy niezatarta, na dnie serca spoczywa. Wiele się zapomniało, wiele wspomnień zbladło lub całkowicie zginęło w pamięci, ale ten wypadek z mego życia, który teraz usłyszycie, tak żywo mi stoi przed oczyma, jakby się stał wczoraj, jakby się stał dzisiaj, przed chwilą.

I nie dziw, że go dzisiaj właśnie opowiedzieć się zabieram. Wszak to dzisiaj wigilia Bożego Narodzenia, a w dzień ten przygoda moja zawsze mimowolnie z taką siłą na pamięć mi się nasuwa, że daremnie bym próbowało czymś innym pomyśleć i coś innego opowiedzieć. Spożyliśmy już wieczerzę, wesole kolędy umilkły na chwilę, a skoro po starym zwyczaju przeczuwać chcecie aż do mszy św. pasterskiej, to wysłuchajcież tego ustępu cierpliwie, aby zachował się w kronice naszej rodziny.

Anno Domini 1752 byłem wyrostkiem siedemnastoletnim. Rodzice moi, z dobrej szlacheckiej krwi ale nędznej bardzo fortunki, żyli na bardzo skromnej i ubogiej własności. Dworek stary, Bóg wie, jakie jeszcze czasy pamiętający, i szmat ziemi, to całe było mienie, z którego żyć trzeba było uczciwie. Było nas troje rodzeństwa w domu. Ja byłem najstarszy, za mną szedł brat Andrzej, o lat pięć młodszy ode mnie, a za nim najmłodsza siostra, Hania, mająca wówczas lat dziesięć zaledwie, dziecko dobre i śliczne, jak aniołek.

W domu była bieda wielka, i nami, chłopcami, a już to najbardziej mną, frasował się ojciec ustawicznie. Wyrosłem był już, jak młody dąb, wąż się poczynął sypać pod nosem, a w głowie było pusto i ciemno. Umiałem zaledwie czytać i pisać, a pocziwy ksiądz pleban, staruszek bardzo zacny — Pa-

nie, świeć nad duszą jego! — trochę mnie w łacinie przeciw-
czył, bo na owe czasy ani rusz było szlachcicowi bez łaciny.
Rosłem, nie wiedzieć na co: duchownemu stanowi oddać się
było już za późno, do palestry nie było o czym się aplikować,
więc utrapienie było nie lada Jakby na domiar złego, byłem
chłopak krnąbrny i narowisty, jak młody żreback z tabunu,
i ani powaga śp. rodzica mego, ani słodkie przestrogi matki
uchodzić mnie nie mogły.

Matka moja liczyła zawsze na krewnych, którzy posiadali
znaczną fortunę, a najwięcej na wdowę bogatą, swą stryjenkę,
panią podczaszynę Żołyńską, ale ta z sukursem wcale się nie
spieszyła. Pisywała do niej matka często, uciekała się do jej
pomocy w gorzkich afliacjach niedostatku, prosząc już nie dla
siebie, ale dla dzieci o pomoc jakowąś, ale pani podczaszyna
wszystkie te prośby nawet responsem honorować nie raczyła.
W głowę więc zachodź z wyrostkiem, jak ja! W domu nie wy-
siedzi niczego, do statutu i pióra niezdatny, a rzemiosła lub
pospolitej służby imać się nie pozwala szlachecka kondycja!

Tak stały rzeczy, kiedy rodzice moi po długiej naradzie
z sobą przecież coś stanowczego począć ze mną zdecydowali.
Ojciec zawołał mnie do siebie i tonem poważnym w takie się
ozwał słowa:

— Wicie, przerosłeś już mnie, wása jeno co nie widać; ju-
żeś chłop, co się zowie; czas by pomyśleć, co dalej będzie. Po
polu na szkapie harcować, z ptaszniczki do wron strzelać
i z innymi urwisami na szable się rąbać, to dotąd uchodziło,
ale teraz serio pomyśleć trzeba o tem, co waść jeść będziesz
i czym zebra szlacheckie okryjesz. W domu pozostać nie mo-
żesz, bo waść wiesz, że niema o co się zaczepić i zem chudy
pacholek. Dotąd jak było, tak było, ale teraz trzeba się zacząć
przegryzać przez życie i forytować do uczciwego stanu. Dam
ci list do pani podczaszyny Żołyńskiej; choć dotąd nie była ła-
skawą dla chudej swej familii, to może, gdy ciebie samego
obaczy, krewieństwa pamiętniejszą będzie. Nie żądam w li-
ście żadnej jałmużny dla ciebie, ale sumituję się tylko pani

podczaszynie dobrodziejce, aby cię wpływem swoim (bo ma znakomite i możne koligacje) umieściła przy dworze jakiego magnata i pomogła do kłamki pańskiej. Jest właśnie dobra okazja w te strony: sąsiad nasz, pan podsędek Orszyński, jedzie w te okolice, przysiedzisz się waść i dalej w świat za wolą bożą!

Jak ojciec chciał, tak się stało. Opatrzono mnie jako tako w drogę: ojciec sprawił mi uczciwy kontusik i żupanik od święta, własny swój pas najlepszy i dość okazałą szablina darował, a do tego wszystkiego kilka, Bóg dobry wie, skąd wydobytych, czerwonych dorzucił; matka ukochana postarała się o bieliznę i drobniejsze potrzeby i obdarzyła tem, co największym i najświętszym jest skarbem dziecka, opuszczającego progi domowe — błogosławieństwem swoim serdecznym.

Przy rozstaniu żal trochę serce ścisnął i markotno było na duszy, i byłbym też zapłakał szczerymi łzami, gdybym się nie był wstydził ojca i pana podsędka, na którego wózku tę pierwszą wyprawę w świat boży odbyć miałem. Matka moja, jako mnie miłowała bardzo, łzami mnie swymi oblała, a za jej przewodem i brat, i siostrzyczka Hania od żalości głośno płakali. Coraz bardziej mi serce miękło, i byłbym może także uległ rzewności, osobliwie, gdy mnie moja najmilsza siostrzyczka Hania, drobnymi rączęty ujawszy, z płaczem całowała — ale pan podsędek ruszyć kazał i, nim jedno Ave Maria ujechaliśmy, już mi zniknęły z oczu i strzecha rodzinna, i matka droga, co długo za mną patrzyła, z daleka śląc mi błogosławieństwo.

Nie tyle podróż moja, co cel jej był mi nie do smaku. Nie miałem ochoty szukać pomocy u pani podczaszyny, która nie dała nigdy rodzicom moim dowodu życzliwości i dobrego serca i po której się zbyt miłego powitania nie spodziewałem; nie miałem też żadnej inklinacji służyć u dworu magnackiego, trzymać się kłamki pańskiej i aplikować się pod rygiem marszałka. Pani podczaszyna miała dobra nad samą granicą śląską, a ta granica ćwiekiem mi się wbiła w młodą głowę. Ja,

co nigdy prawie nie przekroczyłem granic swego powiatu, cuda sobie myślałem, co tam być może za granicami Rzpłtej...

— A gdyby tak pójść za granicę, het, w świat daleki? — pomyślałem sobie. — Tak szlakiem czterech wiatrów i kędy oczy i nogi poniosą?... Gdyby tak zamiast pokornie sumitować się wątpliwym krewieńskim afektom pani podczaszyny i szukać łaski pańskiej — próbować szczęścia na własną rękę — czy nie lepiej i nie weselej by to było?... Młodemu i szalonemu łbu mało trzeba, aby się uczepił pierwszego lepszego konceptu i fantazji się oddał na ślepo. Po krótkich rozmyślaniach postanowiłem uciec panu podsędkowi przed samym celem podróży i hajże w świat za fortuną, za awanturami, za okazją!... Niestety chciało, że mi sam podsądek ułatwił wykonanie zamiaru. Na dwie mile przed wsią pani podczaszyny wypadało mu w podróży wziąć się w inną stronę a podwieźć mnie umyślnie nie było mu składnie, dał mi tedy informację, którądy mam się zwrócić, aby pieszo dostać się do krewnej, pożegnał, napomniął i na czystym polu zostawił.

— Tom ja teraz pan własnej woli — zawołałem sam do siebie, pełen animuszu — a świat cały stoi mi otworem! Bywaj zdrowa, jaśnie wielmożna pani podczaszyno dobrodziejko, obejdę się bez jejmościnej protekcji i sam się forytować będę!

Owo nie pytałem się już teraz o drogę do krewnej, ale od przechodzących zasięgałem języka, którądy najbliżej do granicy. Za dwie małe godziny stanąłem nad granicą i z biciem serca chciałem ruszać dalej bez odpoczynku, gdy mi mijać przyszło karczmę, w której dziwne i ciekawe dla mnie bardzo odbywały się rzeczy.

Przed karczmą tą stała duża gromada chłopstwa, a najwięcej młodych parobczaków, i gapila się na pół z lękiem, na pół z ciekawością. W sieniach ustawiono stół, a około stołu stali lub siedzieli ludzie dziwacznie ubrani. Ja, co nie widziałem był dotąd nigdy w życiu wojska cudzoziemskiego autoramentu, nie mogłem się dość napatrzeć tym figurom. Że byli żołnierze, to po jednakowym mundurze i po bronii poznałem łac-

no, ale takich żołnierzy nigdy jeszcze nie widziałem. Było ich kilkunastu, a ubrani byli w niebieskie kabaty z czerwonymi ranwersami, w kamasze wysokie czerwone i w obcisłe pludrki. Przy bokach mieli krótkie szable, na głowach trójgraniaste kapelusze z kordonami srebrzystymi, a włosy pudrowane i w warkocze uplecione. Czterech z nich wygrywało na trąbkach i piszczałkach, a dwóch biło takt w brzękliwe tarabany, a tak chwacko, tak wesoło i huczno, że aż miło słuchać było. Pod stołem znajdowała się beczka z winem, a jeden z tych żołnierzy ciągle siedział przy czopie, ciągle do szklenie nalewał i zagapionemu chłopstwu podawał. Na stole leżała księga otwarta i kupa srebrnych talarów, nowiutkich i świetlistych, że aż za oczy chwytały, a jeden z gromady tej wesołej ciągle niemi przerzucał, dodając brzęk srebra do odgłosu muzyki.

Chłopi patrzyli łakomym wzrokiem na wino, na białe, świecące srebro, ale cofali się z niedowierzaniem i zdawali pasować się między lękiem a pokusą... Od czasu do czasu jeden z żołnierzy, widocznie najstarszy z oddziału, dawał znak fajfrom i doboszom, aby przestali wycinać kuranty, i, jedną ręką pobrzękując talarami a drugą wznosząc pełną szklenicę wina, głośno coś przemawiał, jakby chciał do czegoś zachęcić. Przybliżyłem się, aby posłuchać tej oracji, ale z ciężką biedą tylko sensu jej dochwycić się mogłem.

— Dobrze jeść, dobrze pić, immer lustig żyć! — wołał ów drab najstarszy, który miał szlify srebrne na kołnierzu i takiż kutas przy furdymencie. — Prystań, prystań na Kriegsmann, będziesz sobie wolny pan! Najjaśniejszy Majestat król pruski werbuje do swojego sławnego wojska! To mi życie, to mi raj, bodaj takiemu królowi służyć lat sto i cztery tygodnie! Kabat piękny i złocisty, a pieniędzy huk; dla soldata nietrudno o dukata! Co będziesz miał? Wszystko! Co będziesz robił? Nix! Kto chce iść, niech się spieszy, niech da rękę, bo będzie płakał i żałował. Dziesięć Taler do ręki!! Nowy, piękny, srebrny Taler — dziesięć takich Taler zaraz, a potem kopa, oko i tuzin! Jeden Taler — dzień! Drugi Taler — dzień! Trzeci — dzień!

Vier, fünf, sechs, sieben, zehn! Hurra—ha! Werrrrbunk dla najjaśniejszego, najmocniejszego, najlaskawszego Zaj Majestet króla od Prajzów! Frry—der—rryk, przyjaciel żołnierzy, daje dziesięć talarów zaraz, mięsa, ile zjesz, wódki, miodu, wina, piwa, ile wypijesz; melduj się, werbuj się! Dobrze jeść, dobrze pić, immer lustig żyć! Eins zwaj, draj! Musik! Bum!!

Tu fajfry i dobosze poczęli znowu przygrywać, a ów starszy z srebrnym kutasem przy furdymencie zapraszał już teraz niemymi gestami do stolika. Widowisko to całe ogromnie mnie zajęło; przecisnąłem się tedy przez gawieź i stanąłem sobie tuż przed żołnierzami. Tak zagapiony, patrzyłem ciągle na tę śmieszną komedię, kiedy naraz ów drab z srebrnym bandoletem przystąpił do mnie, z przyjacielska uderzył po ramieniu i podał szklenicę wina.

— Mospan Polak! — zawołał, nagle, abym wypił. — Anu, kamrad do kamrada! Wiwat! Niech żyje żołnierskie życie! W twoje ręce, mospan Junker!

Nie pytając wiele, co dalej będzie, wziąłem od Niemca szklankę i wychyliłem do dna. Niemiec mnie na to pod ramię i, na pół grzecznie prosząc, na pół gwałtem ciągnąc, wiedzie do stolika, koło siebie sadza i znowu wina nalewa. Po drugiej szklance zaszumiało w młodej głowie, do żadnych trunków nienawykłej; zaczął mi się podobać i ten Niemiec w kurcie z ranwersami i srebrnym bandoletem, i ci jego kamraci junacy, i ta muzyka, wycinająca wesoło na piszczalkach i tarabanach. Za drugą szklanką poszła trzecia, za trzecią czwarta i już niewiele pamiętałem, co się ze mną robi. Ścisnąłem tylko każdego draba w kurcie niebieskiej serdecznie, a każdy z nich wzajemnie do błyszczących guzików mnie przyciskał, w twarz całował i Bruder Kamrad nazywał; czułem jakby przez sen, że mi błyszczące srebrne talary pchano do ręki i że muzyka przeróżne ochocze marsze wycinała.

— Frri—derrr—rrrik! Bruder Kamrad,! Immer lustig! Musik! — bełkotałem językiem, który mi się szalenie płał po zębach, aż nareszcie straciłem przytomność z kretesem.

Nie wiem, jak długo znajdowałem się w tym stanie, ale, kiedy się z bólem głowy obudziłem, nie mogłem połapać myśli i wspomnień, które się po rozgorzałym łbie kręciły jakoby młynem. Domowa strzecha, podróż, rodzic mój, pan podsedek, pani podczaszyna Żołyńska i cała hurma drabów w kabatach z czerwonymi ranwersami i z pudrowanymi warkoczami biegało mi przed oczyma, a w uszach szumiały ciągle fajfry i dobosze.

Przetarłem oczy, przeżegnałem się i począłem rozglądać się dokoła, gdzie jestem. Ujrzałem się na gołym tapczanie, w izbie brudnej i ciemnej. Dokoła mnie na tapczanach lub pokotem na ziemi leżało kilkunastu młodych parobczaków, a przy drzwiach drzemał na zydłu jeden żołnierz w niebieskim kabacie, z muszkietem w ręku. Porwałem się z tapczana i nuż szukać mego tłumoczka; daremnie! Niema go koło mnie! Ani kontusza, ani żupanika z pięknej kwiecistej grodetury, ani szabelki blachmalowej, co mi ją ojciec darował, niema ani na oczy! Sięgam do kieszeni, niema mieszka z czerwienicami, poszedł snąć za żupanem i szablą!...

Mówię tedy do owego żołnierza, co siedział przy drzwiach na zydłu oparty na muszkiecie:

— Panie wojak, zabawiłem się wczoraj z waszymi kamradami, pohulałem może zanadto ochoczo; teraz mi czas w drogę, muszę ruszać dalej; oddajcie mi mój tłumoczek i mieszek z pieniędzmi i otwórzcie drzwi, bo mi tu duszno w tej izbie. Żołnierz popatrzył na mnie, jakby nie rozumiał, a potem śmiać się począł głośno i długo, aż nareszcie, ze śląskiego akcentu zarywając, tak do mnie rzecze:

— Mospan Polak, już ty nasz, już ty kamrad i wojak pruski; tak ja ciebie teraz nie puszczę. Siedźże tutaj, aż pan lejtnant przyjdzie!

— A toż co u licha, panie wojak — zawołałem — to chyba żartujecie! Zabawiłem się tylko w wesołej kompanji i kwita! Puśćcież mnie w spokoju, niechaj sobie idę w moją stronę!

Wtedy ów żołnierz na pół ze śmiechem, na pół z dobrocią, bo mu żal było może krwi młodej i niedoświadczonej, pocznie mi rozpowiadać, jako się wczora zawerbowałem do wojska pruskiego, jako mnie już wpisano na lat ośm do rejestrów pułkowych, jako już teraz jestem zagranicą na pruskim haup-twachu, jako wczoraj jeszcze przysiągłem przed chorągwią jego królewskiej mości, Frydrykowi II, iż mu będę wiernie i walecznie służył w pokoju i na wojnie, na morzu i na lądzie, na murach i w otwartym polu.

Domyślacie się już tedy, że wpadłem w ręce werbowników pruskich. Trzeba wam też wiedzieć, że jako w naszej nieszczę-śliwej Rzeczypospolitej rząd bywał jeno tak sobie od półtora nieszczęścia, a porządku i czujności za trzy grosze nigdy nie stało. No sąsiednie wojska, tak cesarskie, jak pruskie, wysyła-ły werbowników nad granicę polską, i tu łapano, kto się pod rękę nawinął. Takich nieszczęsnych zwerbowanych Polaków, a osobliwie chłopów, bywało sporo w wojsku austriackim i pruskim, a pan generał Szybilski cesarzowi rakuskiemu cały prawie pułk ułanów wysztyftował z samych Polaków taką werbowniczą sztuką. Osobliwie podczas wojny cudzoziemscy werbownicy lud nam z nadgranicznych okolic srodze podkra-dali.

Owo takim to kształtem dostałem się do pruskiego wojska. Nie będę wam tu opowiadał trudnych początków w tej suro-wej szkole, ani też przygód przeróżnych, których między ob-cymi zażyłem — bobym ani dziś, ani jutro może nie skończył. Kiedyś i na to przyjdzie czas; jeśli Bóg trochę życia jeszcze do-zwoli, to wam dziad wszystko rozpowie. Dość powiedzieć, że sroga była mi dola w pierwszych czasach; ciężka i trudna, i biedna, że jej żadnemu wrogowi przebywać bym nie życzył. Oj, uczyliż mnie Niemcy wojaczki, uczyli! Oplakałem gorzko mój muszkiet żołnierski! Ano co było robić i jak się ratować? Ucieknę, to złapią, a po krygsrechcie w łeb palną bez pardo-nu. Bóg wysoko, do domu daleko, a nad karkiem rygor i dys-cyplina, ani pisać... Czuj duch — i kwita.

Bywało, między tymi Niemcami taka mnie żałość serdeczna weźmie za rodzinną ziemią, taka rzewność duszna za rodziną, że serce się padało formalnie, ale cóż było robić! Wiele biedy przyszło na człowieku, a w końcu i dusza jakoś niby stwardniała, i już mi tam wszystko za jedno stało. Po dwuletniej biedzie nauczyłem się po niemiecku tak gładko, że językiem tym mówiłem, jakobym go znał od dzieciństwa, a reglament, musztrę i służbę na palcach się umiało. Po długich prośbach i zachodach przenieśli mnie do kawalerii, do której zawsze serdeczną miałem inklinację, bo szlachcicowi zawsze markotno służyć w piechurach, muszkiet dźwigać i w kamaszach chodzić. Przy kawalerii zostałem wachmajstrem, to jest podoficerem, i już mi odtąd jakoś lżej było w tym żołnierskim stanie.

Do rodziców w pierwszym roku pisałem razy kilka, ale żadnego responsu nie otrzymałem nigdy. Zapomniałem też o nich, a gdy na dobitkę, będąc za kupnem koni pułkowych pod samą granicą polską, spotkałem tam jakiegoś ekonoma z okolic moich rodziców, a ten mi powiedział, że, kiedy tam nastał, już po Narwojach i śladu nie było, pożegnałem się w myśli z rodziną na wieki.

— Bóg wie, co się z nimi stało — myślałem sobie — ojciec i matka może pomarli, Andrus i Hania gdzieś u obcych ludzi się wysługują, a ja, biedny żołnierz, z lichego żołdu dyszę, a jak to porzucę, to z biedy zginę, a rodzeństwa nie wynajdę; a choćbym i wynalazł, to co im pomogę?

Tak minęło cztery lata. Człowiek miał, nie chwaląc się, wiele wrodzonego sprytu, młoda głowa rychło wszystko pojmowała, a tak, poduczwszy się wojennego rzemiosła dobrze, zostałem nareszcie oficerem. Oberszter mój, graf Koggeritz, polubił mnie nawet dosyć i nieraz innym lejtnantom na wzór służbistości dawał. Był to srogi człowiek, tyran okrutny, żołnierz surowy i ostry; od mistrzów krzyżackich prozapię swoją wywodził i krzyżak też z niego był od stu kaduków! Ja też służbę pełniłem punktualnie i akuratnie, jak machina, a sro-

gość przejąłem od starszych i, jako oni mnie, tak ja mych subordynowanych jakby kleszczami za łeb trzymałem.

Już to Bogiem a prawdą mówiąc, tacy my już wszyscy Polacy, że dopiero w obcej szkole ćwiczą nas w karności i do surowego posłuchu zaprawiają. W domu, pozał się, Boże, porządku za grosz, respektu za złamany halerz; każdy sobie pan, każdy sobie król i wojewoda, nikt nie słucha a każdy rozkazować rad i gotów zawsze.

Czyś hetman, czyś towarzysz, już ty sobie w Polsce własny pan: każdy tam kapitan a dragana nie ma; nic nie idzie w ład, ten do Lasa, ten do Sasa, o posłuszeństwie ani mów szlachcicowi. Ale niech no pana brata wezmą w dyscyplinę niemiecką, pod muszkiet i feldmycę, ano zaraz co za przemiana! Tańcuj że, Polaczku, jako ci grają! Jak go ścisną żelazną dłonią, zaraz z niego najsurowszy i najkarniejszy żołnierz, najśłużbistszy i najstateczniejszy oficer. Tak to my, Polacy, sobie samym najgorzej, a obcym tylko służyć umiemy.

Ale owo odbiegam od rzeczy. Wracając tedy do mojej opowieści, miasto dłużej mówić o moich dalszych kolejach i przygodach, powiem tylko otwarcie, że, spędziwszy tak kilka lat między Prusakami, zmieniłem się z gruntu całej duszy, i nawet rodzona matka byłaby się do mnie nie przyznała. Człowiek zniemczał, sprusaczył się, zlutrzył z kretesem. Już się i polskiego języka było nieco zapomniało, bom ustawicznie szwargotał tylko po niemiecku. O kraju rodzinnym i pamięć w sercu, zda się, wygasła, a o wierze katolickiej, w której się urodziłem, niepoczciwie zapomniałem. Przez całych ośm lat naonczas nie spowiadałem się ani razu, nie przystępowałem do Najświętszego Sakramentu, a całe nabożeństwo na tem polegało, że się z komendą i w paradnym ordynku chodziło niekiedy do protestanckiej kirchy.

Dziś mnie, starego, groza przejmuje, gdy wspomnę, jak sromotnie i szpetnie zmieniłem się na pruskim, żołnierskim chlebie. Ale takie to musiało być tam życie, gdzie człowiek nie znał innego Boga nad króla, innego przykazania nad honor

wojskowy i kawalerski, innej wiary nad chorągiew, innego pana nad oberszta, innego prawa nad regulamenta i krygsrecht! Wszyscy tak żyli, więc i ja, com był maluczkim ziarnkiem piasku w tem wielkim morzu. Dzisiaj jeszcze mrowie mnie obiega na myśl, że, żyjąc w tak bezbożnym stanie, a bywając ciągle w rozmaitych bardzo krwawych potrzebach, gdzie tysiące padały, gdyby dopuszczenie boże było mi kazało paść od kuli, byłbym wyzionął ducha jako poganin a nie katolik i szlachcic polski.

A śmierci nie szukać było wtedy. Służba moja wojskowa przypadła w samą ową zaciętą wojnę, która z przerwami całych siedm lat trwała, a w której tłuc się było potrzeba z wszystkimi niemal nacjami, z Rosjanem, Francuzem, Sassesem i z cesarskimi. Byłem w kilkudziesięciu może rozmaitych potyczkach i bitwach, ale zawsze z nich człowiek za dziwnym zmiłowaniem bożym cało swe kości wyniósł. O mniejszych ranach nie mówię; płucał kto po gębie lub po karku, to i przyszło, rozpruła kula udo, to felczer ją wyjął i zaszył ciało — a z lazaretu człowiek uciekał jak najrychlej było można, bo tam srożej jeszcze nędza biła, niż na polu w obozie.

Owóż pod sam jakoś koniec tej wojny zawziętej i krwawej, w której król Fryderyk odgryzał się z sukcesem swoim przeciwnikom i z tych srogich opalów obronną, ba, nawet zwycięską wyszedł ręką, tak na krótko przed samym ostatecznym pokojem, anno Domini 1760 posunęli nasz regiment pod samą granicę polską. Mnie z moją chorągwią postawiono kwaterą w małej mieścinie, a że wojna jeszcze się toczyła, więc byliśmy w pogotowiu i lada chwilę na plac boju pójść mieliśmy. Pewnego dnia zaciągnąłem z moimi ludźmi hauptwach, gdy przysłano do mnie z kwatery jeneralnej, abym z silną strażą stawiał się po więźnia wojennego, nad którym właśnie starszyzna krygsrecht odbyła.

Spełniłem rozkaz i odebrałem więźnia. Nakazano mi surowo, abym go strzegł na hauptwachu, jak oka w głowie, albowiem przestępca jest wielki i, jako na rozstrzelanie skazan,

pozajutro stracony być ma według Krygsrechtu. Był to oficer saski (a trzeba wiedzieć, że z Sasami byliśmy także w wojnie), który chciał się przedrzeć przez forpoczty pruskie, a przytrzymany, bronił się i oficera ciężko ranił. Posądzono go o zamiar szpiegostwa i krótką sprawą, sądem wojennym, na śmierć skazano.

Wojna sroga i ciągły widok śmierci, która mi nieraz z bliźniutka oko w oko lypnęła, zahartowały mię, jak żelazo, i dusza moja nie była już przystępna żalościom i miłosierdziu, a przecież markotno mi się zrobiło, widząc tego skazańca. Młoda krew, chłopak urodziwy i dzielny, aż miło patrzeć, młodszy jeszcze ode mnie, a takiego jakiegoś wdzięcznego wejrzenia, że mimowolnie serce ku sobie inklinował.

Ale służba służbą, a mój żal nic tu poradzić nie mógł. Odwiodłem tedy nieboraka na hauptwach, zamknąłem w izbie z zakratowanymi oknami, sam klucze do kieszeni wziąłem i dwóch żołnierzy na warcie postawiłem. Że mnie ciekawość zdjęła, co zaczł był ten oficer, zaglądnąłem do pisma, które mi wraz z nim oddano w krygsrechcie, Jakież było moje zdziwienie, kiedy wyczytałem, że jest Polakiem, nazywa się Józef Rotnicki i jest unterlejttnantem w dragonii jegomości kurfürsta saskiego. Teraz już naprawdę żal serdeczny poczułem, boć to i rodak mój był, i chłopiec młody i piękny, jak jagoda, i żyć mu było tylko na bożym świecie, a nie ginąć marną śmiercią od muszkietów pruskich.

Ogarnięty tęskliwością, myślę ja sobie, że byłoby to obowiązkiem chrześcijańskim odwiedzić nieboraka w tak strasznym życia terminie i uweselić mu jako tako tę dobę krótką, co go od sądu bożego dzieliła. Było to już późnym wieczorem, a było właśnie 23 grudnia, w wigilią wigilii Bożego Narodzenia. Biorę tedy klucze i latarkę i, niby na ront nocny i dla inspekcji straży się udając, otworzyłem areszt, gdzie nieszczęśliwy skazaniec w ciemności i samotnie był zamknięty.

Siedział w kącie więzienia na zydlu, oparł głowę na rękach i nie słyszał mnie wchodzącego, śnął w smutnych i frasobli-

wych myślach pogrążony, aż kiedy światło w oczy mu uderzyło. Porwał się szybko z miejsca i, jakoby senliwym wzrokiem spoglądawszy na mnie, na powrót usiadł.

Mówię ja tedy do niego po niemiecku:

— Panie oficerze, jesteś Waćpan pod moją strażą i wiesz, jaki los cię czeka. Ale, choć nieprzyjaciel, jako oficer i kawaler mam sobie za obowiązek oddać się Waćpanu na usługi i zapytać go, azali czego nie potrzebujesz? Muszę pełnić moją służbę, wszak ją znasz Waćpan, bo sam służyłeś wojskowo. Czego regulament zakazuje, tego Waćpan ode mnie wymagać nie będziesz, ale, co w mojej mocy a nie przeciw prawu, tego Waćpan, panie oficerze, wymagaj!

— Dziękuję ci, mości oficerze — rzecze on na to — śnać dobre masz serce, za które niechaj Bóg ci płaci! Żądam tylko światła, papieru i pióra, bo, wybierając się z tego świata, chciałbym się listownie pożegnać z osobami, które mi były najmilsze na ziemi.

Kazałem zaraz przynieść ordynansowi światło, papier i inkaust, a gdy spełnił mój rozkaz, tak znowu rzekłem do więźnia:

— Bądź Waćpan dobrej myśli, bo jeszcze jenerał nie confirmował wyroku. Nie radzę ja Waćpanu ludzić się płochą nadzieją, ale zawsze kto to wie, czy się los nie zmieni. Jeżeli Waćpanu to nie będzie dolegliwym, abym tu został i szczerzej kompanii mu dotrzymywał, to się mu chętnie ofiaruję.

Rotnicki wdzięcznym sercem przyjął moją propozycję. Był blady i smutny, ale spokojny, i widać mu było z oczu, że się śmierci nie boi. Zapytałem go (mówiąc ciągle po niemiecku, bo wstyd mi jakoś było przyznawać się, żeś Polak) z jakich okolic jest Rzeczypospolitej? Odpowiedział mi na to, że pochodzi z Sandomierskiego, gdzie rodzice jego do zamożnej należą szlachty, że cała familia jego od dawna była oddaną dynastii saskiej, że stryj, który jest jenerał lejtnantem w służbie tego kraju, wziął go z sobą do Drezna i patent na oficera mu wyrobił. Rotnicki przebywał kampanię ostatnią, a wziąw-

szy przed miesiącem urlop, chciał z regimentu swego najkrótszą drogą dostać się do Polski, ale, schwytany przez pruskie forpocztę, fałszywie posądzony został o szpiegostwo i za to niewinnie ginąć musi. Wysłuchawszy tej opowieści, która mi serce krajała, wdąłem się z nim w dalszą rozmowę, chcąc go pocieszyć, ile to w mojej mocy było — a im dłużej z nim rozmawiałem, tem bardziej żalność mnie ogarniała na widok nieszczęśliwego jeńca. Mimo tę rzewność moją, co mi rozpierała serce, nie zdradziłem się ani słówkiem, jako Polak jestem i katolik.

Naraz mówi on do mnie:

— Panie oficerze, jeśli wola, zostań tu i dalej, ale dyskurs nasz urwać chyba trzeba, bo pomodlić się muszę. Mam do śmierci dobę tylko jeszcze; czas najwyższy pojednać się z Bogiem i grzesznej duszy ułatwić rozstanie z tem wszystkim, co tu miłowała na ziemi...

Na te słowa chciałem wyjść, ale coś mnie dziwnie trzymało na miejscu... Chciałem już całą noc dotrzymać towarzystwa Rotnickiemu. Cofnąłem się w drugi kąt izby i usiadłem. On zaś tymczasem wydobył spod sukni ryngraf z wizerunkiem Najświętszej Pani, ucałował go, postawił przed sobą na zydłu i, ukląkszy kornie, żarliwie i gorąco modlić się począł.

Na ten widok niewysłowna żalność mnie porwała... Ośm lat minęło, jak sam nigdy prawie się nie modliłem, jak nie westchnąłem nawet do Matki Bożej, Królowej Polski. Ozwała się nagle we mnie stara wiara, w której urodziłem się i wzrosłem, przypomniały się z dziwną jakowąś siłą modlitwy, których matka mnie droga uczyła, gdym był jeszcze drobnym pacholęciem — i cały afekt ten religijny, który kiedyś gorzał w młodym sercu, na nowo duszę mi do głębi ogrzał, wyjaśnił i rozrzewnił.